

Adam Ziemianin

MIŁOSIERNY SAMARYTANIN

Celnik Jaskółka – choć celnik – ale serce dobre miał. I nie o to chodziło, żeby komuś postawić piwo, ale jakoś tak w ogóle. Psa nigdy nie kopnął ani żadnej rzeczy, która jego sąsiada jest. Nie pożył żony bliźniego swego, choć na uroki kobiet był łasy.

– Jaki z ciebie celnik? – dziwili się niektórzy. – Pewnie długo tym celnikowaniem się nie nacieszysz – ostrzegali.

A najbardziej dopieklili byli faryzeusze. Po miasteczku chodzili bez specjalnych strojów, ale poznać ich łatwo było. Twarze pudrowali mąką wrocławską, żeby bardziej ascetycznie wyglądać, a może to był tylko łupież na kołnierzu? Zerwał wśród nich grał pierwsze skrzypce, choć słuchu nie miał za grosz. Raz nawet ksiądz proboszcz zwrócił się po mszy do niego:

– Zerwalku, wy to nawet nie musicie śpiewać w kościele...

Faryzeusz Zerwał poczuł się szczęśliwy, że go ksiądz dobrodziej zauważył z tym śpiewaniem i jeszcze głośniejsze wyśpiewywał przy głównym ołtarzu *Chwalcie łąki umajone*.

A celnik Jaskółka pod chórem śpiewał cicho i spokojnie. Myślał o stonce, która niespodziewanie zaatakowała mu pole ziemniaczane. Tu śpiewa *Chwalcie łąki umajone*, a myśli o stonce. Bił się w piersi, żeby to zagłuszyć, ale nie pomagało. Stonka była silniejsza. Mimo swego celnikowania uprawiał kawałek pola. Odziedziczył po rodzicach, więc szkoda było nie uprawiać. Taki był z niego chłopocelnik, ale przynajmniej ziemniaki były własne. I gdyby nie ta stonka, zbiory zapowiadały się dorodnie. Przez moment wydawało się Jaskółce, że jedna z dorodnych stonk w czarno-białym pasiaku weszła do kościoła, ale to było tylko złudzenie, bo to Justyna Wasiak w nowym kostiumie z elany zawitała do świątyni rozglądając się wkoło. Lustrowała zwłaszcza mężczyzn.

– Marnie coś ze mną – pomyślał pod chórem – żeby tylko nie zemdleć.

Ostatnio też tak z nim się działo, ale wtedy przed oczyma rożyły się mu biedronki. Tym razem jednak nie wytrzymał do końca nabożeństwa, i z kościoła wyszedł przed błogosławieństwem.

– Wiadomo, celnik nawet do końca mszy nie może wysiedzieć – myśleli niektórzy. – Nie to co ci przy głównym ołtarzu.

Lecz Jaskółka nie przejmował się tymi szeptami, tylko dziarsko szedł do domu. Zielony mundur celniczy grzał go na galowo.

Po obiedzie wziął jednak butelkę – z naftą na dnie – i wybrał się zbierać stonkę, bo bardzo go nosiło. Mógł jako celnik, bo stać go było, pozwolić sobie na spryskanie krzaków ziemniaczanych środkami chemicznymi, i wytrułby tę zarazę, ale jak ognia unikał chemii.

– To trucizna – powiadał – dlaczego mam się truć za życia. Przecież te ziemniaki dla siebie sadiłem i dla mojej rodziny, a nie na sprzedaż...

Sąsiad Zerwał zobaczył go z flaszka na stonkę, splunął za nim szpetnie i jeszcze wykrzykiwał:

– Że też taki Boga się nie boi! Nie pamięta, żeby dzień święty święcić! Tylko na stonkę się wybrał...

Jaskółka nic sobie z tego gadania i wyklinania nie robił. Dziarsko szedł pogwizdując. Nafta potrzebna była w butelce, żeby stonka miała lekką śmierć i żeby była pewność, iż się nie odrodzi. Kiedyś Jaskółka wdeptywał stonkę w ziemię, ale ta odżywała i dalej rzucała się na ziemniaki. Teraz, gdy wprowadził naftę, nie miała prawa.

Ruszył więc między rzędami ziemniaczanymi, powoli oglądając każdy krzaczek. Już na początku pola roilo się od stonki. Czerwonopomarańczowe larwy kotłowały się na liściach. Niekiedy zamiast zielonego, jawił się Jaskółce czerwony krzak ziemniaczany. Zbierał więc larwę po larwie, i do nafty! Czasem trafiały się dorosłe, pasiaste osobniki. Ich los podobny był do larw.

Po przejściu paru rzędów ziemniaczanych przyszedł czas na odpoczynek, ale Jaskółka nie potrafił beczynnie wypoczywać. Poszedł więc zobaczyć na sąsiednie pole jednego z faryzeuszy. Zdziwił się, bo tam stonki w ogóle nie było. Ani jednej nawet larwy. No tak, ale pole ziemniaczane posypane było białym proszkiem.

– Wszystkie do mnie się przeniosły. Z okolicznych pól się zleciały, bo u mnie ziemniaczki bez chemii. Smacznego, stare cwaniaczki! Ale nie na długo – i znów ruszył przez ziemniaczysko.

Butelka litrowa coraz bardziej się zapelniała. Zaroiło się w jego oczach, że przez moment miał wrażenie, iż zbiera maliny nie stonkę. Został jeszcze jeden rząd do przejścia, gdy z krzaków obok pola usłyszał jakieś jęki. Z początku wydawało mu się, że to pewnie omamy od upału, jak z tymi malinami, lecz gdy pojękiwania się powtórzyły, poszedł w ich kierunku.

Jakież było jego zaskoczenie, gdy w zaroślach zauważył jęczącego człowieka. Już na pierwszy rzut oka było widać, że bardzo cierpiącego. Cały krwawił. Celnik nigdy w miasteczku nie widział tego mężczyzny. Wyglądał na południowca – Cygana, może Rumuna – choć kto go tam wie. Był jednak przytomny. Jaskółka pomógł mu wstać i zaczął go prawie nieść do domu. O stonce już nie było mowy. Poruszali się bardzo powoli – krok za krokiem. Ale jakoś dowlekli się do domostwa. Tutaj Jaskółka położył swego dziwnego gościa do łóżka, podając mu wcześniej do picia herbatę i z grubsza przemywając rany wodą utlenioną. Gość po chwili zasnął.

Mimo niedzieli, celnik Jaskółka poszedł do doktora Smagacza. Ten nie bardzo chciał jechać do poszkodowanego, bo był po sutym podwieczorku, lecz w końcu dał się uprosić. Wsiadł do zamówionej dorożki, którą opłacił wcześniej celnik, aż ugięła się pod ciężarem doktora. Zbadał rannego. Na szczęście nie był połamany, tylko mocno pobity i osłabiony, bo sporo krwi z niego wyszło. Dopiero teraz udało się coś z niego wyciągnąć. Faktycznie był to Cygan, który wraz z grupą swych ziomeków wędrował z taborem przez nasze miasteczko. Doszło jednak do poważnych zatargów plemiennych i „posłali mu noża” – jak sam wymamrotał z dziwnym akcentem.

Nie minęły dwa dni. Cygan powoli wracał do zdrowia.

– Na mnie jak na psie goją się rany – mówił z wdzięcznością do Jaskółki.

Po południu do domu celnika zapukał przedstawiciel miejscowej władzy, czyli policjant Mlecz.

– Doszły mnie słuchy, że przechowuje pan u siebie gościa, który nie jest zameldowany. Czy to prawda? – zapytał szeregowy.

– A jest taki jeden u mnie. Znalazłem go pobitego koło mego pola. Był ledwo żywy.

– Oj! Obywatelu Jaskółka, coś mi się widzi, że wy nie znacie przepisów, choć jesteście celnikiem. A przecież wiecie, że nasze miasteczko nad granicą leży i trzeba być szczególnie wyczulonym na obcych. A skąd się szpiedzy biorą? Jak myślicie? Z nieba spadają... Dobrze, że macie czujnych sąsiadów... Trzeba będzie zapłacić kolegium, bo gość nie był zameldowany! I on musi iść ze mną...

– Ale Staszek! Co się wygłupiasz – próbował zażartować Jaskółka.

– Dla kogo Staszek, dla tego Staszek! Obywatelu Jaskółka.

Celnik zrezygnował z wszelkich prób dogadania się z szeregowym Mleczem. Wiedział, że nic nie wskóra. Pogodził się więc z tym wyrokiem i nie stawiał oporu, gdy zabierano Cygana. Za płotem faryzeusz Zerwał chodził dumny jak paw i tylko fałszywie się uśmiechał, bo wydawało mu się, że spełnił swój obywatelski obowiązek. Wybory do miejscowych władz już były za pasem.